

Czesława i Zuzanna Pasierbek: „Powstańcy to był mój drugi dom”

Z.P. i C.P. W których latach były Pani związane z naszą szkołą? Jak wiemy, Pani Zuzia w podwójnej roli.

C.P. – Uczyłam w „Powstańcach” od września 1960 do czerwca 2004 roku, czyli 44 lata. Miałam okazję pracować w tym czasie z 5 dyrektorami. Zaczynałam w liceum męskim, które potem przekształciło się w liceum koedukacyjne. Miałam 21 lat i byłam już po studiach. Łatwo policzyć, że maturzysta był wtedy ode mnie młodszy o 3 lata, a jeśli ktoś powtarzał klasę, to nawet o 2 lata. Wspominam to jako niezwykle doświadczenie na początku drogi zawodowej.

Z.P. – Powiedziała bym, że moja rola w „Powstańcach” była nawet potrójna. W roku 1974 przeprowadziliśmy się do Rybnika i zaczęłam chodzić do przedszkola nr 9, które było stosunkowo blisko „Powstańców”. Moja mama celowo wybrała to przedszkole, bym mogła po zakończonych zajęciach przychodzić do niej do pracy. A pracowała wtedy dużo. Bywały dni, że nawet do 18.00 -19.00, prowadząc zajęcia również w liceum eksternistycznym (dla dorosłych). Tak więc, ja jako mały przedszkolak, bywałam w „Powstańcach” w zasadzie codziennie, czekając, aż mama skończy pracę. Nie nudziłam się – z reguły siedziałam w ostatniej ławce i malowałam różne rzeczy. Nie pamiętam, jakiej jakości były te rysunki, bo talentu do malowania/rysowania do dzisiaj nie mam. We wcześniejszych godzinach lekcyjnych, gdy zajęcia miała jeszcze młodzież licealna, siedziałam z tyłu klasy – miałam wtedy mnóstwo starszych (dużo starszych) koleżanek i kolegów, którzy traktowali mnie jak maskotkę klasową. Pamiętam swój zachwyt, bo wszyscy chcieli się mną zajmować, pożyczali mi mazaki, kredki, rozśmieszali mnie. Byłam w centrum uwagi, oczywiście na przerwach. Każdy, kto zna moją mamę, wie, że nie pozwoliłaby sobie na przeszkadzanie na lekcji. Moje relacje jako przedszkolaka z gronem pedagogicznym „Powstańców” były też niesamowite. Wielu z nauczycieli to byli moi „wujkowie” i „ciocie”. Odwiedzałam „Powstańców” przez cały okres przedszkola i sąsiedzkiej Szkoły Podstawowej nr 1. Gdy byłam coraz starsza i bardziej samodzielna, już nie



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE W RYBNIKU
Klasa I d rok szk 1984/85

siedziałam i nie czekałam, aż mama skończy swoje lekcje, ale nadal codziennie do niej zaglądałam.

Kolejny etap to etap mojej 4-letniej nauki w liceum. Chodziłam do klasy o profilu ogólnym z rozszerzonym językiem angielskim (ilość godzin podobna do obecnych klas dwujęzycznych lub nawet więcej). Potem nastąpiła przerwa – studia, które zaczynałam w Katowicach, a kończyłam na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W roku 1992 wróciłam do „Powstańców” już jako nauczyciel. W latach 1991-1993 uczyłam w Liceum Rolniczym, które przez wiele lat miało swoją siedzibę w „Powstańcach”, ale wtedy już mieściło się na ul. Karłowicza. W drugim roku pracy w „Rolniku” podjęłam też pracę w I LO. Od 1993 jestem zatrudniona w „Powstańcach”. Mój staż to ponad 30 lat, ponieważ pracowałam jeszcze wcześniej poza państwową oświatą, prowadząc kursy językowe. Uwielbiałam nauczanie (i nadal uwielbiam) i nie było dla mnie żadnym problemem połączyć studia z pracą.

Podsumowując, te 3 okresy to: mała córeczka swojej mamy, uczennica i nauczyciel. Myślę, że mogę pozwolić sobie na

stwierdzenie, że jestem osobą najdłużej aktywnie związaną z tą szkołą, bo od 4-go roku życia. Jedyne role się zmieniały

Z.P. - Czy w Pani czasach byli surowi nauczyciele?

Nauczyciele stosowali jasne zasady. Bardzo to doceniam. Gdy zasady są jasno określone, to nawet „surowy” nauczyciel nie jest surowy. Po prostu wiesz, co masz zrobić. Jeśli to zrobisz, jest ok, a jeśli nie, to ponosisz konsekwencje. W sumie prosty mechanizm. A szczerze mówiąc, im ktoś był bardziej konsekwentny (=surowy), tym bardziej zapadł w pamięci - pozytywnie, oczywiście.

Z.P. - Czy jakiś nauczyciel był Pani wzorem?

Mój wychowawca – prof. Henryk Poremski – historia opowiadana tak, jakbyś czytał wciągającą powieść. A jako wychowawca – człowiek o bardzo wysokiej kulturze osobistej, dążący za wszelką cenę do szybkiego rozwiązywania ewentualnych konfliktów, ostoja spokoju. Moja nauczycielka języka angielskiego - prof. Bożena Stankiewicz – osoba bardzo charyzmatyczna, nowoczesna. Dodam, że były to lata 80-te, a na jej lekcjach powiewało już Europą. Prof. B. Stankiewicz była moją inspiracją.

Moja mama – prof. Czesława Pasierbek – tak, uczyła mnie przez 4 lata matematyki. Nigdy nie zwróciłam się do niej na lekcji „Mamo”, ale „Pani Profesor” też nie. Manewrowałam między formami bezosobowymi, np. „Czy można prosić o powtórzenie tego jeszcze raz?” Gdy uczy Cię rodzic, nie masz łatwego życia, ale dużo się o życiu uczysz. I to jest cenne, to Cię wzmacnia. Pamiętam, że przez długi czas czułam, iż muszę kolegom i koleżankom z klasy „udowodnić”, że ja tę matkę umiem, a nie, że mam dostęp do pytań z klasówki (wtedy się mówiło „klasówka”, a nie „test”).

I umiałam matematykę. Matematyka, to logiczne myślenie, które potrzebne nam jest wszędzie. Bardzo się przydaje, gdy łączysz kropki, ucząc się, a w moim przypadku również ucząc innych języka obcego. Przydaje się oczywiście w życiu. Dobrze jest być logicznym. Gdy czasem mówię, że mama mnie uczyła, to spotykam się z reakcjami pożałowania, że miałam „przechłapanie”. A ja nie żałuję. Doceniam. Musiałam się jeszcze bardziej do matmy przyłożyć. I sporo nauczyłam się o relacjach międzyludzkich.

Z.P. - Czy właśnie ci nauczyciele zarazili Panią pasją do nauczania?

Pasją do nauczania zaraziła mnie moja mama. Od najwcześniejszych lat bawiłam się w domu „w szkołę”. Lalki i misie to byli uczniowie. Dużo historii, by tu można opowiedzieć. Wyrósłam w tym duchu, miałam kogo podglądać i poznawać, co to znaczy etyka pracy, i podejście zadaniowe do problemów. Bo sam problem to nie problem. Problemem może być podejście do problemu. To cenna lekcja.

Z.P. - Czy wykorzystwała Pani ich metody w swoim sposobie nauczania?

Na pewno wykorzystywałam sporo doświadczeń z warsztatu pracy mojej mamy. To co prawda inny przedmiot, ale w zawodzie nauczyciela bardzo ważne są pewne cechy, sposoby postępowania, etyka. Natomiast moją drugą, ale jakże istotną inspiracją, była prof. Bożena Stankiewicz. To ona sprawiła, że dosłownie na drugiej lekcji języka angielskiego z nią zdecydowałam, że będę uczyć tego języka. Byłam wtedy w klasie siódmej, prof. Stankiewicz zaczęła mnie uczyć już w szkole podstawowej, potem w liceum - była dla mnie wzorem. Sposoby przekazywania wiedzy przemawiały do mnie w 100%. Teraz czasem wspominamy razem

ten okres. Mam szczęście, że nasza relacja trwa – kiedyś jej uczennica, potem koleżanki po fachu siedzące przez wiele lat w jednym „kamerliku” w szkole. Uczyła też mojego syna Krzysztofa w liceum - i on też ją bardzo dobrze wspomina. Szczególnie kładzie nacisk na to, jak p. prof. Stankiewicz, osoba bardzo otwarta na świat i jego różnorodność, otwiera umysły innych. Oczywiście tych, którzy chcą się otworzyć. Krzysztof to także absolwent „Powstańców”, potem studiował w Warszawie, magisterkę realizował w języku angielskim. Obecnie jest doktorantem w Sztokholmie. Jeśli jest okazja, zawsze nawiązuje kontakt z prof. Stankiewicz. Często też o niej rozmawiamy i o wszystkich życiowych wskazówkach, jakich udzielała i udziela. Jak widać, wywarła spory wpływ na nasze życie.

Z.P. - Jak wspomina Pani swoją klasę, czy pozostaliście w bliskich relacjach?

Moja klasa to był zbiór silnych osobowości. Trudnych momentów nie brakowało, ale funkcjonowaliśmy dobrze. Szalone pomysły też oczywiście się pojawiały, w końcu to taki przywilej młodości. Jestem w kontakcie z kilkoma osobami, nie są to jednak zażyłe znajomości.

C.P. - Co przynosiło Pani najwięcej satysfakcji w pracy z uczniami?

Największą satysfakcją dla mnie zawsze było obserwowanie rozwoju młodego człowieka, zarówno w sferze edukacyjnej, jak i w obszarze

kształtowania się osobowości. Satysfakcją jest to, gdy po latach spotykasz się ze słowami uznania oraz gdy widzisz, jaką drogą poszli Twoi uczniowie

Z.P. i C.P. - Pani Czesława umiłowała sobie matematykę, a Pani Zuzanna język angielski – skąd taka rozbieżność w zainteresowaniach?

C.P. – Moje zainteresowania w szkole średniej też były bardzo rozbieżne. Pewnie zaskoczę teraz niejednego, rozważałam studiowanie historii lub matematyki! Co spowodowało, że wybrałam matematykę? Słowa mojej cici, również nauczycielki oraz uczestniczki Powstań Śląskich, która powiedziała wtedy: „W matematyce 2+2 zawsze będzie równało się 4, a w historii „białe” nie zawsze jest „białe”. I to przeważało.

Z.P. – Już trochę o tym wspominałam wcześniej. Dodam tylko, że zapytana jako dziecko, kim będę w przyszłości, zawsze odpowiadałam „nauczycielką muzyki, ewentualnie matematyki”. Muzyki, bo grałam na pianinie, skończyłam też szkołę. muzyczną I stopnia, a matematyka – wiadomo. Tak było do klasy 7. – wtedy pojawił się język angielski. I to było to. Nigdy już nie zmieniałam planów zawodowych, krok po kroku realizując mój cel.



Źródło: Archiwum prywatne



Źródło: Archiwum prywatne Zuzanny Pasierbek

Z.P. i C.P. - Czy gdy porównywały Panię ze sobą wspomnienia/doświadczenia, to widziały Pani jakieś podobieństwa?

Czasy się zmieniają i to jest normalny bieg zdarzeń. Zmieniają się zachowania, wymagania. Gdy jesteś cały czas aktywny i pracujesz z młodzieżą rok w rok, to te zmiany zachodzą stopniowo i nie są tak odczuwalne. Zmieniały się też sposoby działania szkoły – np. liczebność i profilowanie klas. Na początku mojej pracy to była szkoła 11-letnia, potem liceum 4-letnie. Kolejny etap to powstanie gimnazjów i po latach powrót do 4-letniego liceum, ale te dwa ostatnie etapy to już nie moje doświadczenia. Pamiętam też w latach 60-tych podział roku szkolnego na 4 okresy - po 2,5 miesiąca. Wielu uczniów nie uzyskiwało promocji. Klasy były bardzo liczne, nawet powyżej 40 osób.

Z.P. – Wartościowym elementem pracy nauczyciela jest to, że nie starzejesz się tak szybko, bo wciąż młodość masz wokół siebie. Musisz nadażyć – Ja przynajmniej się staram.

Z.P. i C.P. - Czemu „Powstańcy”, a nie „Hanka”? „Powstańcy” są jakąś tradycją rodzinną, czy po prostu jest to zbieg okoliczności?

C.P. – U mnie to był czysty przypadek. Los tak chciał, żebym pracowała blisko domu rodzinnego. W „Powstańcach” pojawił się wakat i decyzją Kuratora Śląskiego otrzymałam pracę. Bardzo mnie to ucieszyło. Tym bardziej, że imię szkoły ma ścisły związek z moją rodziną – jestem córką Powstańca Śląskiego. Moim pierwszym i wieloletnim dyrektorem była Barbara Ostroga. Często wracam pamięcią do tych czasów.

Z.P. – U mojej mamy to był przypadek, a u mnie absolutnie nie. „Powstańcy” to mój drugi dom.

Nigdy nie było innej opcji. Choć pamiętam, jak lata temu dostałam konkretną ofertę pracy w „Hance”. Nie przyjąłem. „Powstańcy” byli w moim życiu zawsze. I to się nie zmieniło. W tym roku szkolnym korzystam z rocznego urlopu bezpłatnego, zajmuję się moją firmą, ale wewnątrz cały czas jestem „Powstańcem”. I jestem z tego dumna.

Z.P. - Miała Pani jakieś „fory”, ze względu na to, że Pani mama pracowała w szkole, do której Pani uczęszczała?

Do tego, o czym już wspomniałam, dodam tylko tyle, że te „fory” były jakieś odwrócone. Pamiętam, gdy na geografii zostałam złapana na ściąganiu, bo ściągać nie umiałam, to moja mama dowiedziała się zanim nawet zdążyłam do niej podejść na przerwie. Wtedy nie było mi wesoło, ale dostałam kolejną lekcję i nie ubolewam nad tym.

Z.P. - Dlaczego po zakończeniu studiów, zdecydowała się Pani na powrót do naszego liceum?

Nie było innej opcji w mojej głowie. „Powstańcy” to był mój drugi dom. Kropka.

Z.P. i C.P. - Czy podczas „Powstańczej” przygody, zdarzyły się Paniom jakieś zabawne historyjki związane ze swoimi uczniami?

C.P. – Było ich sporo. Tak na szybko pamiętam, jak kiedyś uczeń zapukał do pokoju nauczycielskiego i gdy otworzyłam drzwi, zapytał, czy może

rozmawiać z prof. Gołąbkim. Tu potrzebny jest komentarz, że był to pseudonim prof. Rusieckiego. Niezłe było zdziwienie ucznia, gdy dowiedział się, że to nieprawdziwe nazwisko. Były też inne historie, często psikusy, ale może lepiej, gdy wspomną o nich absolwenci.

Z.P. – Historyjek było sporo, zarówno na lekcjach, jak i na wycieczkach. Nie jestem pewna, czy powinnam tu o nich publicznie opowiadać

Z.P. i C.P. Jakich rad udzieliłyby Pani młodym „powstańcom”? Co według Pań w dorosłym życiu liczy się najbardziej?

C.P. – Doceniaj to, co Ci przekazują rodzice i nauczyciele. Nawet jeśli teraz się z tym nie zgadzasz. Zakończę sentencją łacińską: „Quidquid agis, prudenter agas et respice finem” – „cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i przewiduj koniec”.

Z.P. – Dodam do tego, co powiedziała moja mama: Traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany. Poza tym wyznacz sobie cel, ustal plan działania i idź krok po kroku, krok po kroku. Jeśli się poddasz, nie wygrasz nigdy. Jeśli wytrwasz, masz szansę, a na pewno sporo się nauczysz. Bądź otwarty na możliwości. Chciej z nich skorzystać. Wybieraj mądrze.

Wywiad przeprowadzili:
Martyna Pająk, Błażej Dara



Źródło: Archiwum prywatne Zuzanny Pasierbek